

plus
MINUS

16

Barbara Kosmowska

Pozkaczana rybka



Barbara Kosmowska

Pozłacana

rybka



Zamiast dedykacji

Letni wieczór przyniósł duszny zapach maciejki, gdy z moją przyjaciółką M. usiadłyśmy pod jabłonią. Nad nami pierwsze gwiazdy bawiły się w berka. Moja przyjaciółka momentami milkła i zerkła do góry. Gwiazdy mrugały do niej, jakby chciały dodać coś od siebie do opowieści, która pięknie i odważnie płynęła przez mrok.

Gdyby nie M., nie potrafiłabym napisać tej książki.

Listy do samej siebie

Na początku byłam Bardzo Rozpieszczoną Jedynaczką. Nawet mama i tata zwracali się do mnie słowami: „Bardzo Rozpieszczona Jedynaczko, czy mogłabyś ściszyć ten rozwrzeszczany zespół? Zmyć po sobie naczynia? Zakręcać tubkę pasty do zębów? Nie wrzucać brudnych skarpetek bezpośrednio do pralki? Nie buszować po naszym gabinecie i nie przekładać fiszek na biurku?”.

Tak było na początku. I choć wówczas uważałam, że żyję w świecie bezpodstawnych oskarżeń, szybko się okazało, jak ciepły i bezpieczny był tamten świat.

Przestałam być Bardzo Rozpieszczoną Jedynaczką w dniu, kiedy mama zdjęła z drzwi starą wizytówkę i zastąpiła ją nową. Z tej wizytówki jasno wynikało, kto już z nami nie mieszka. Imię taty powędrowało razem z nim na inną ulicę. Niby nic takiego. Pół naszej kamienicy zmieniało wizytówki, a tatusiowie przedstawiali mieszkać ze swoimi żonami i Bardzo Rozpieszczonymi Jedynaczkami. Tata zaczął po prostu dzwonić do drzwi własnego mieszkania i częściej się ze mną spotykać niż przedtem. Dziwne, bo wcześniej miał więcej sposobności. Ale pewnie tak już jest, że dorośli lubią komplikować wszystkim życie i trzeba być dorosłym, żeby to pojąć.

Do tego, że tata dzwoni jak pan Kawka, który wypożycza od nas książki, zdążyłam się już przyzwyczaić. Chciałabym tylko, żeby mnie nie traktował jak nową powieść skandynawską. Albo jak paczkę, którą trzeba przewieźć swoim audi pod wskazany adres. A już w żadnym wypadku jak córkę po rozwodzie, bo ja się z nim przecież nie rozwiodłam. I żeby mnie gdzieś nie zapodział, co mu się przytrafiło z miłością do mamy.

Bo z tą miłością rodziców stała się rzecz dziwna. Topniała jak lody i stygła niczym nikomu niepotrzebna herbata. A także milkła. Jakby już nic nie miała do powiedzenia. Jakby jej nie zależało, żeby w naszym domu znowu krążyły pod lampą kolorowe rozmowy i dobre słowa. Ale najbardziej zdziwiło mnie w tym wszystkim jedno: że rodzice rozwiedli się dla mnie! Uwierzyliby kto? Zrobili to dla mojego dobra! Co za wielkoduszność! Ciekawe, jak by się czuli, gdybym to ja ich porzuciła. Dla ich dobra, ma się rozumieć. Po to, by byli jeszcze szczęśliwsi i bardziej ze mnie zadowoleni.

Nie porzucę. Nie znoszę roztopionych lodów. Nie pijam zimnej herbaty. Lubię, kiedy moje uczucia mają pokojową temperaturę, a ja – dużo cierpliwości. Pewnie dlatego czasami odnoszę wrażenie, że jestem dużo starsza od własnych rodziców. Na szczęście gołym okiem wcale tego nie widać.

Być tam i tu

Sierpień miał się ku końcowi. Coraz krótsze, chłodne wieczory wypraszały Alicję z werandy wilgotnym zmierzchem, nie zważając na jej naburmuszoną minę. Z żalem opuszczała

dziadkowy fotel z przetartego ratanu, na którym ponoć dora-
stała jej matka.

– Tak to już jest, kochanie. – Babcia pojawiała się w drzwiach
z kubkiem dymiącego mleka. – Bez jesieni świat byłby ubogi
jak bosi Antek – mówiła, patrząc na wciąż imponujące czupry-
ny buków, strzegących brzegu niewidocznego jeziora.

– Nie chcę wracać. – Alicja wydeła wargi. Z miną małej ka-
przyśnicy wzięła w dłonie kubek z mlekiem. – Ohyda! – mruk-
nęła, ale w jej oczach już rozbłyły iskierki przekory. Uwielbia-
ła droczyć się z babcią o codzienną porcję świeżych kożuchów.

– Widzisz? – uśmiechnęła się babcia, tuląc głowę wnuczki
do fałd fartucha. – Mleko potrafi zdziałać cuda. Jeszcze przed
chwilą przerażał cię koniec lata, a teraz masz całkiem inne
zmartwienie.

– Muszę do dna?

– Musisz. – Babcia w tej jednej sprawie była nieugięta. –
Panna Fryzunia miałaby ci za złe, gdybyś pogardziła jej pre-
zentem.

Ośmioletnia Panna Fryzunia uchodziła za najpiękniejszą
krowę we wsi. Urodziła się wprawdzie w sąsiedniej zagrodzie
i z powodu jakichś krowich wad miała zostać uśmiercona, ale
jakby świadoma czekającego ją losu, każdego ranka przekra-
czała bramę podwórza dziadków i kopytem niemal stuknęła
do drzwi werandy. Zachowywała się tak, jakby przez pomyłkę
przyszła na świat pod innym adresem i dziadkowie, oczarowa-
ni jej wizytami, postanowili to przedziwne, rozbrykane cięło
adoptować. Nie byli rolnikami, więc rozpoczęli żmudną na-
ukę hodowli bydła, aby zapewnić ulubienicy właściwy rozwój
i godną krowią przyszłość. Panna Fryzunia, choć mocno rozbry-
kana i rozpieszczona niezliczonymi komplementami dziadka,

szybko nauczyła się dziękować swym wybawcom. Czyniła to na krowi sposób, dając najwięcej mleka w okolicy ku wiecznemu niezadowoleniu poprzednich właścicieli.

Alicja też pokochała Fryzunię. Mogła godzinami patrzeć w jej mądre oczy i odganiać natrętne muchy. Wprawdzie mokre buziaki, jakich Panna Fryzunia nie szczędziła Alicji, należały do trudnych pieśczoł, ale przyjmowała je ze śmiechem, klepiąc przyjaźnie Fryzunię po aksamitnych biodrach.

I teraz, odstawiając pusty kubek, uśmiechnęła się na myśl o Pannie Fryzuni.

– Wiesz, babciu – westchnęła cicho. – Czasami żałuję, że to nie ja zastukałam kopytkiem do waszych drzwi. Też byś mnie zaadoptowała, prawda?

Babcia spojrzała na nią bez uśmiechu. Zawsze gdzieś się zawieruszała, ilekroć Alicja wyrażała ochotę pozostania na wsi. I twarz babci stawała się odrobinę starsza, a może tylko podłużna zmarszczka na czole robiła się głębsza. Trudno powiedzieć.

– Panny Fryzuni nikt nie chciał. No, może poza rzeźnikiem – babcia z trudem siliła się na żartobliwy ton. – A ty masz rodziców, którzy cię kochają...

– Wiem, wiem, wiem. – Alicja wstała energicznie z fotela. – I brata, który za mną tęskni. I Sarę. I szkołę...

– Nie psuj sobie ostatniego tygodnia wakacji. – Babcia patrzyła na Alicję spod zmrużonych powiek. – Przyjedziesz zimą i będziemy razem paliły w piecu. Zrobisz kilka ważnych zdjęć...

– Potem znowu wyjadę i będę wygrzewała się przy kaloryferze... Wywołam kilka fotografii z białymi pejzażami...

– Sama widzisz, że takie zmiany są potrzebne. – Babcia zamazyście strzepnęła niewidoczny pyłek ze stołu. – Do zwyczajnego szczęścia – dodała.

– A jeśli wiem, że tu jestem szczęśliwa... Czy to wystarczy, aby zostać?

– Wszystkiego to ty, kochanie, nie wiesz. Gdybyś zamieszkała na stałe w Kruszyńcu, dokąd przyjeżdżałaś na wakacje? Sama widzisz – babcia zbierała się do wyjścia – trzeba być i tam, i tu.

Jej słowa wtopiły się w delikatny szum deszczu, który z każdą chwilą przybierał na sile. Krople coraz natęczywiej atakowały małe okienka werandy. Najpierw zniekształciły bzy i akacje, rosnące tuż obok domu, potem przesłoniły rząd starych buków. A po chwili stało się tak, że Alicja słyszała już tylko śmiałą ulewę, wstrząsającą pobliskimi drzewami. Pomyślała, że taki deszcz zawsze nadchodzi wtedy, gdy i w niej zbierają się smętne chmury wypełnione wilgotną goryczą. Z tą różnicą, że z jej płaczu nigdy nie wynika nic dobrego, a deszcz za oknem obiecuje jeszcze jeden rześki dzień. I Alicja postanowiła z tego daru skorzystać. Uśmiechnęła się do babci i już bez ponurych myśli ruszyła do kuchni po kolejną porcję mleka.

Karton ze zdjęciami

Alicja potrafiła „być i tu, i tam” tylko w jednym, bardzo szczególnym przypadku – gdy wybierała się na wycieczkę ze starym dziadkowym nikonem przewieszonym przez ramię. Właściwie dziadek dał jej w prezencie ten piękny aparat już dawno.

– Najwyższy czas, abyś mnie zastąpiła – oświadczył kiedyś, wręczając jej swego wieloletniego przyjaciela.

Alicją owładnęła duma. I choć pierwsza seria zdjęć była zestawem przypadkowych szczegółów anatomicznych członków rodziny, niezrażona tymi porażkami dalej mierzyła obiektywem nikona w bliskich. Czuła, że któregoś dnia zostanie najprawdźwyszym fotografikiem.

No i ciemnia – maleńki pokoik na poddaszu, w którym dotąd mógł przebywać tylko dziadek – teraz też stanęła przed nią otworem. Wprawdzie wywoływanie kliszy było niezwykle żmudne, ale zwyciężała reporterska ciekawość i Alicja nauczyła się czerpać przyjemność z oczekiwania na kolorowe efekty swych wędrówek.

A było na co czekać. Każde wakacje obfitowały w tematyczne pomysły. Zdjęcia robione przez Alicję dojrzewały razem z nią. Wprawdzie zbiór otwierały przesłodzone widoczki, które nadawałyby się na pocztówki z Kruszyny, ale w miarę upływu czasu ten widokowy cukier rozpuszczał się w coraz bardziej śmiałych ujęciach notujących już nie tylko piękno natury, ale i jej dramaty.

Najlepsze zdjęcia Alicja oprawiała w małe ramki i wieszała w swoim pokoju. Te pierwsze wystawy oceniał dziadek. Nie żałował wnuczce krytycznych uwag. Bywało więc, że pokaz kończył się łzami, wielką obrazą i mściwą obietnicą zerwania z pstrykaniem. Ale już następnego dnia Alicję budził ze snu duch walki. Przewieszała aparat przez ramię i ruszała w plener szukać nowych wyzwai.

Nadszedł wreszcie czas fotograficznych żniw. Dziadek z uwagą przypatrywał się nowym zdjęciom i mówił tylko: „No, no...”. A portret rannego kormorana sam powiększył i wysłał na konkurs. Alicja zdobyła wówczas wyróżnienie i jej nazwisko znalazło się na wcale nie długiej liście znacznie od niej starszych zwycięzców.

Teraz, gdy otwierała kartony z debiutanckimi fotkami, sama zachowywała się jak dziadek, sarkając na niski poziom pierwszych prób.

Wysypała zawartość koperty zatytułowanej „Babcia”. Uśmiechnęła się do swoich usiłowań sportretowania tego najmniej wdzięcznego obiektu. Bo babcia miała w zwyczaju uciekać, ilekroć wnuczka celowała w nią aparatem.

– O, co to, to nie! – Zasłaniała się obiema rękami i właśnie taką, zasłoniętą kolejną babcią Alicja odkrywała w kuwecie z wywoływaczem.

– Dlaczego nie lubisz być na zdjęciu? – pytała z żalem po nieudanych sesjach.

– Bo stara jestem! – śmiała się babcia. – I nieuczesana! A poza tym twój dziadek zmarnował na mnie kilometry swoich filmów. Wystarczy.

Na pewno babcia ma jakiś inny powód, żeby nie być na moich zdjęciach – zastanawiała się Alicja, patrząc w zamyślonie oczy starszej pani na całkiem udanej fotografii z zeszłego roku. Zapada już pierwszy mrok. Babcia siedzi na niskiej ławeczce. Opiera głowę na dłoni. Tak ciężko, jakby na zgiętym łokciu trzymała wszystkie rodzinne kłopoty i zmartwienia. Nie wie, że Alicja czai się z fleszem, ukryta w gęstwinie niskiej olchy. Dopiero za chwilę błysnie lampa aparatu, a babcia aż podskoczy przestraszona. Alicja wybuchnie gromkim śmiechem, zadowolona, że podstęp się udał. Ale jeszcze w tym momencie babcia niczego nie podejrzewa. Jest przekonana, że wokół nie ma żywej duszy, więc najspokojniej pozwala smutkowi wkraść się do swych myśli.

– Ciekawe, o czym tak dumiała? – Alicja przybliżyła do oczu fotografię, ale babcina twarz dalej pozostaje dla niej zagadką.

I nagle przychodzi jej całkiem niespodziewanie do głowy, że babcia też musiała bardzo przeżywać tę całą małżeńską awanturę. Przecież wciąż lubi tatę. Zawsze miała dla niego tyle serdeczności... Tylko przy niej, Alicji, nadrabia miną, powtarzając w kółko, że dorośli mają prawo do swoich decyzji.

A na tych dziadkowych zdjęciach jest rzeczywiście całkiem inna babcia. Alicja pamięta ją jak przez mgłę. Wiecznie roześmiana i nawet trochę frywolna. To unosi rąbek zbyt krótkiej jak na babcię spódnicy. To kokietuje jakiegoś pana przy remiku. To stoi oparta o ramę roweru, ale tak, że jest bardziej podobna do mamy Alicji niż do babci. W tym czasie babcia chętnie wyjeżdżała z dziadkiem na wczasy, a o małej Alicji mówiła „Moje Hałasówko*”. No tak, Alicja bardzo ciężko pracowała na ten zaszczytny tytuł, zawzięcie mieląc językiem przez całe dzieciństwo.

Zdjęć dziadka jest więcej. Ale też dziadek urodził się modelem! Postawny i wciąż prosty jak świerk, staje przed obiektywem z nieukrywaną przyjemnością, a wyraz jego twarzy mówi: „Fotografowanie wręcz wskazane”. Może babcia ma rację, gdy przekomarzając się z nim, twierdzi, że większego narcyza nikt nie wyhodował i że to ona powinna wystawić dziadka na jakiejś kwiatowej giełdzie. Ale wciąż się kochają. O, na przykład tu, gdzie Alicja zastosowała sepię, nadającą zdjęciu trochę staroświecki charakter. Dziadek trzyma dłoń na ręce babci. Babcia wprawdzie chowa się za niego, ale on i tak delikatnie przytula się do jej lekko wystawionego ramienia. No, no... Jak na taką wiekową parę, to całkiem śmiałe jest to ujęcie.

* Hałasówko – spolszczona nazwa Bullerbyn.

Alicja chowa zdjęcia do starannie podpisanych kopert. Mówi o nich „mój album”. Kopertę podpisaną „Robert” też przez chwilę waży w dłoni. Jakby chciała ocenić ciężar zamkniętych w niej uczuć.

Kiedy po jej przyjeździe do Kruszyny babcia wspomniała mimochodem, że Roberta nie ma i że wróci dopiero pod koniec wakacji, Alicja poczuła się oszukana. Głośno nigdy by się do tego nie przyznała. Nie wspomniałaby też ani słowem o swoim ubiegłorocznym odkryciu, że Robert jest niezwykle fotogeniczny, o czym świadczył okazały zbiór wakacyjnych fotek. Nazbyt okazały – jak sama zauważyła podczas porządkowania kolekcji. Część z tych zdjęć, na których poza Robertem nie było nic, schowała głęboko, na dno kartonu. Pomimo zawodu, jaki jej sprawił, nie dołączyła do odrzuconych próbek ich wspólnego portretu. Technicznie słabego i wykonanego przy użyciu samowyzwalacza. Pamięta, jak długo i cierpliwie ustawiała aparat, a potem biegiem ruszyła w stronę Roberta. Potknęła się. Na szczęście chłopiec zdążył chwycić ją w ramiona i ten długo planowany portret stał się sceną wyreżyserowaną przez przypadek. Alicja, badawczo wpatrując się w fotkę po raz setny, doszła do wniosku, że przypadek może być całkiem sympatyczny.

Przez pierwsze dni nawet nie sięgnęła po futerał z nikonem. Na pytania dziadka o tegoroczne plany plenerowe odpowiadała wymijająco, że jeszcze nie wie. Dopiero wiadomość o jaszczurce zwince, która prawdopodobnie zamieszkała w pobliżu nasłonecznionego skalniaka, sprawiła, że Alicja wyciągnęła aparat z plecaka i zajęła się jego czyszczeniem. Dziadek z babcią na ten widok odetchnęli z ulgą.

Fragment książki

Pozłacana rybka

napisała: Barbara Kosmowska

okładka: Marta Kramarz

Wydawnictwo Literatura

www.wydawnictwoliteratura.pl

Książka wpisana na Złotą Listę
„Cała Polska czyta dzieciom”

